Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 61. Poniedziałek, 15 Marca 1926 r. Rok II.

ŁÓDZKIE Echo WIECZORNE

10 groszy.

Numer pojedyńczy 10 gr.

Redakcja: Zawadzka 1. Administracja: Piotrkowska 11. Telefony: 38-28, 228 i 229.
Redakcja otwarta od godz. 8 rano do 4 po poł. Administracja czynna od godz. 8 rano do 7 wiecz. bez przerwy.
Redaktor lub jego zastępca oraz dyrektor wydawnictwa przyjmują od godziny 1 do 3 po południu.

Wychodzi o godz. 2-ej po poł.

O kim mówią w Łodzi?



P. REMISZEWSKI,
Starosta łódzki,
czyni usilne starania o zdobycie środków na naprawę dróg w powiecie.

Briand stoi niezachwianie po stronie Polski!

Francja zgodzi się na wejście Niemiec do Rady tylko równocześnie z Polską.

(Od własnego korespondenta).

Briand oświadczył wczoraj wieczorem dziennikarzom:

— Dla nas ostatecznym i nieodwołalnym warunkiem jest jednoczesne wejście do Rady Ligi Narodów Polski i Niemiec.

Minister Stresemann oświadczył:

— Uważam, że Polska powinna wejść do Rady Ligi, jednak nie podczas obecnej sesji, gdyż nasza opinja publiczna zrozumiałaby to jako demonstrację przeciwko Niemcom.

Nowy projekt kompromisu.

Rezygnacja wszystkich niestałych członków Rady umożliwi natychmiastowe przeprowadzenie nowych wyborów i oddanie jednego miejsca Polsce.

(Od własnego korespondenta).

Wczorajsze wieczorne posiedzenie Rady Ligi nie odbyło się i odłożono je na dzisiaj.

Natomiast rozeszła się pogłoska, że wielkie mocarstwa znalazły inny sposób kompromisowego załatwienia zatargu. Polegać on ma na tem, że państwa będące niestałymi członkami już obecnie złożą swe mandaty, mimo, że kadencja kończy się dopiero we wrześniu. Wobec tego odbyłyby sie nowe wybory na miejsca niestałe. W tem głosowaniu zapewnionoby Polsce wszystkie głosy z wyjątkiem Niemiec i Litwy.

Wczoraj wieczorem o godzinie 10 Briand przyjął premjera Skrzyńskiego

POŻAR W ŻEŃSKIEM SEMINARJUM W LUBLINIE.

(Od własnego korespondenta.)

Wczorajszej nocy spłonęła doszczętnie sala muzyczna w gmachu żeńskiego seminarjum nauczycielskiego w Lublinie. W internacie seminarjum, w którem spało około 100 seminarzystek, powstał nieopisany popłoch; seminarzystki w negliżu wyskakiwały przez okno na ulicę, ponosząc poważne obrażenia cielesne. Pożar zlokalizowano.

Zamordowanie pary małżeńskiej w Wadowicach.

Z Krakowa donoszą:

Powiatowa komenda policji państwowej w Warszawie zawiadomiła ekspozyturę urzędu śledczego w Krakowie, że dokonano tam na Michale Branku (lat 50) i jego żonie Wiktorji (lat 55) morderstwo. Przybyłe na miejsce zbrodni organa krakowskiej policji znalazły **zwłoki zamordowanych w sieni ich domu, z zakneblowanemi ustami i ranami na głowie, pochodzącemi od uderzeń tępem narzędziem.**

Mieszkanie zamordowanych bandyci zdemolowali, poczem zbjegli w niewiadomym kierunku. Morderstwo dokonane zostało **prawdopodobnie na tle rabunkowem.**

O miljonowe nadużycia w Monopolu Państwowym w Łodzi.

5-ty i 6-ty dzień rozpraw.

Dzień sobotni i wczorajszy (niedzielny) obfitował w szereg interesujących momentów.

Zbadano cały szereg świadków. Najpierw zeznawały robotnice: Rozalja Wielguś, Marja Rybus i Michalina Kowalczykowa, które potwierdziły, że widziały, jak wynoszono paczki względnie słyszały o tem od innych.

Następnie przesłuchano **św. Edwarda Pikielnika**, który był nadzorcą technicznym w fabryce tytoniowej w Łodzi, przyczem był zatrudniony w sortowni na dole, gdzie zwilżają tytoń.

— Często się zdarzało, **że zastępca dyrektora Ludwik Kolda przysyłał do mnie piśmienne zlecenia, pisane na zwykłych kartkach, które przynosiła mi robotnica, bym mu wydawał po 10 kilogramów tytoniu. Zdarzało się to dość często, mniej więcej dwa razy na tydzień.**

Narazie nie przypuszczałem nic złego, głównie ze względu na to, że Ludwik Kolda zajmował w fabryce wysokie stanowisko wicedyrektora i myślałem, że tytoń bierze na próbę. Później jednak, gdy doszły mnie słuchy, że większość urzędników w państwowej fabryce tytoniowej kradnie wyroby tytoniowe, domyśliłem się, że w tem jest coś w nieporządku, tem bardziej, że na moje zapytanie, czy mam odnotowywać, że tytoń został mu wydany, Kolda odpowiedział, bym tego nie notował.

Byłem o tyle ostrożny, że wydawałem tytoń na kartki.

Pewnego razu zameldowałem o tem magazynierowi Gustawowi Płachcińskiemu. Ten mi powiedział, że skoro jest kartka od Koldy, to przez to samo jest ten ostatni odpowiedzialny.

Jakiś czas niszczyłem te kartki; jedną jednak zatrzymałem i oddałem później policjantowi, który oddał ją sędziemu śledczemu, a ten ostatni dołączył ja do sprawy. Wszystko to, co opowiadam, działo się w roku 1923, później bowiem przeszedłem z Monopolu do wojskowych warsztatów samochodowych, gdzie obecnie pracuje.

Tytoń, który zabierał Ludwik Kolda był już w stanie gotowym do pakowania i zabierany był z pod maszyny.

Adw. Dickstein: W imieniu obrony proszę sąd nie zwalniać tego świadka, gdyż będzie on potrzebny obronie przy badaniu świadka Habera.

Sąd polecił stawić się świadkowi Pikielnikowi na posiedzenie w dniu 18 marca.

Świadek Ludwik Dziubankiewicz nie wniósł do sprawy nic nowego.

HOJNOŚĆ Z CUDZEJ KIESZENI.

Św. Stanisław Wasiak: Ludwik Kolda **dał krawcowi za dobre wykończenie garnituru dużą** (świadek pokazuje rękami) **paczkę tytoniu.** Jako dozorca obserwowałem często Podgórskiego gdy wychodził z fabryki.

Wiele razy **Podgórski wychodził opakowany tytoniem.** Był bardzo gruby, dużo grubszy niż zwykle. Świadek Wasiak **robił kreski w budce strażniczej, ile razy Podgórski wynosił tytoń.**

Gdy takich kresek było kilkanaście, świadek Wasiak zameldował o tem swojemu bezpośredniemu przełożonemu portierowi Krajewskiemu, który z kolei zawiadomił Dyrektora Wronkę. **Dyrektor Wronka zawołał Wasiaka do siebie i zwymyślał go, że ośmielił się śledzić Podgórskiego. Wasiak nie chcąc stracić posady przeprosił Podgórskiego.** Podgórski z kolei wspaniałomyślnie mu przebaczył i w ten sposób sprawa została załatwiona.

Pośrednią drogą Wasiak został zawiadomiony, że o ile będzie dużo mówił o kradzieżach, to go najzwyczajniej z fabryki tytoniowej przepędzą.

Świadek Marja Żygalska zeznaje: pracowałam w dziale sprzedaży. Habera znam: mówił on, że ma na Ludwika Koldę złość. Haber był zwykle pijany. Nawet przy pracy bardzo często nie był trzeźwy.

Ludwik Kolda w kwietniu 1925 r. przestał pracować w Łodzi i wyjechał do Grodna.

„KLUCZ REPARTACYJNY“.

Oskarżony Wronka: Pani pracowała w dziale sprzedaży. Czy wiadomo pani, jak dzielono wyprodukowany towar pomiędzy poszczególnych hurtowników?

Św. Zygalska: Towar dzielono według **„klucza repartacyjnego“. Podział ten robiłam sama, przypominam sobie, że za podstawę służyła faktura.** Obecnie już w fabryce nie pracuję. Zostałam zredukowana przez nowego dyrektora Polakowskiego. Prócz mnie zwolniono wówczas 30 osób.

Św. Franciszek Góralski. Między Zygalską a Ludwikiem Koldą podobno coś było. Czy był tylko sentyment, czy coś więcej, nie wiem.

Prokurator: Czy świadek tak samo zeznawał u sędziego śledczego?

Św. Góralski: Tak.

Przewodniczący odczytuje zeznania Góralskiego złożone przezeń w toku śledztwa; między innemi odczytuje takie zdanie: **Ludwik Kolda, aczkolwiek był żonaty, żył z Zygalską,** oraz przypominam sobie, że Podgórski przychodził prosić nas, abyśmy świadczyli, że on żadnych paczek nie wynosił.

Św. Góralski dalej: Podgórskiego widywałem często, lecz nie przypominam sobie, by wychodził on z fabryki gruby, to znaczy opakowany.

PORTJER KRAJEWSKI ZA SKRADZIONY TYTOŃ KUPIŁ SOBIE DOM.

Św. Antoni Florkowski. Portjer Ignacy Krajewski, gdy przyjechał do Łodzi, był bardzo biedny. W styczniu czy lutym 1925 r. Krajewski **nabył za 700 zł. nieruchomość. Dowiedziałem się o tem, podawszy się za upoważnionego do stwierdzenia tej wiadomości przez sędziego śledczego. Powiedziałem, że sędzia śledczy przysłał mnie po to.**

Świadkowie **Bronisława Zamysłowska i Edmund Gromadzki** nie wnoszą do sprawy nic nowego.

TAJEMNICA SKRADZIONYCH 30 PUDEŁEK TYTONIU.

Św. Roman Nowak zeznaje: pakowałem tytoń. Pewnego razu zapakowałem już 4 skrzynie po 600 pudełek każda, razem 2400 pudełek. Skończywszy zajęcie, poszedłem do domu.

Na drugi dzień, odkrywszy dekel, przekonałem się, że brakowało 30 pudełek. Zameldowałem o tem mojemu bezpośredniemu przełożonemu Haberowi. Nie wiem jednak, czy Haber o tem dalej meldował. Wiem tylko, że nikt mnie się o to więcej nie pytał. 30 pudełek w sposób tajemniczy zginęło.

W dalszym toku przewodu zeznaje **św. Roch Bronka.** Obecnie pracuje przy ul. Kopernika też w fabryce tytoniowej, lecz dopiero od miesiąca. Przedtem pracowałem cztery lata w fabryce na Zagajnikowej. Robotnicy mówili, że urzędnicy i Krajewski kradną. Szczególnie głośno zaczęli o tem mówić od chwili zatrzymania Krupskiego.

Św. Teofil Dębiński. Parę razy widziałem Krupskiego, jak szedł z walizkami od fabryki tytoniowej do Rokicińskiej szosy.

„MILCZEĆ O ZŁODZIEJSTWACH, BO

... z żoną swą, której jedyną zemstą był epitet: **„ty złodzieju, ty pijaku“!**

NA PÓŁ BEZROBOTNY, TRZY DNI KRADŁ, W NIEDZIELE ODPOCZYWAŁ.

Św. Frankowska, służąca, widziała jak Górski wynosił tytoń do hurtownika Gomulaka trzy razy tygodniowo.

Św. Juszczak, wywiadowca Urzędu Śledczego zeznaje, **że podczas rewizji w mieszkaniu Ziąbka znalazł 3 paczki tytoniu „Ksanti“.** Zapytany, skąd wziął tytoń, **tłumaczył się, że dostał od dyr. Wronki, co też Wronka potwierdził.**

PRZEZ OKNA A POTEM DOROŻKĄ NA MIASTO.

Świadek wyjaśnia, **że stwierdził, iż Dulewicz wydawał tytoń przez okno, zaś Ziąbek, Kolda i Krajewski wywozili go dorożką.**

Żadnej agitacji ze strony Sobczyńskiej świadek nie stwierdził.

NIEDZIELNA ROZPRAWA.

Wczoraj, pomimo niedzieli, rozprawy toczyły się dalej. O godzinie 11-ej rano przewodniczący, po otwarciu posiedzenia ogłosił decyzję, mocą której sąd **odczytał protokóły oględzin książek buchalteryjnych i fabrykacji.**

Potem sąd **przesłuchał dodatkowo biegłych, którzy sprawdzali tylko ogólne sumy, nie uwzględniając jednak pomyłek możliwych przy dodawaniu i odejmowaniu.**

Z kolei zeznawał św. Cieślak, b. magazynier monopolu tytoniowego w Łodzi.

„OWOCE“ DO KRAKOWA.

Mówi on, że w roku 1923 były wysyłane do Krakowa trzy skrzynie.

Oświadczono mu, iż zawierają one owoce.

Czy tak było w istocie, nie wie. Przypuszcza jednak, **iż był tam tytoń, gdyż w tym okresie owoce w Krakowie były tańsze.**

Po krótkiej przerwie, jaką przewodniczący zarządził, składa zeznania

p. Połakowski,

obecny dyrektor państwowej fabryki wyrobów tytoniowych.

Objął on fabrykę po aresztowaniu Wronki. Zeznania jego są natury czysto fachowej.

Między innemi oświadcza on, że książki: reportowe i zapasów w pakowalni są prowadzone przy pomocy sił pomocniczych i przekreślania oraz poprawki są w nich dopuszczalne.

Prokurator: — Czy i obecnie prowadzone są podobne książki?

Św. Połakowski: — Co do formy — odmienne, co do treści takie same.

Prokurator: — Czy podczas urzędowania p. dyrektora zdarzały się wypadki, że hurtownicy żalili się na zły tytoń?

Św. Połakowski: — Tak, ale to z winy samych hurtowników. Często się zdarza, że odbierają towar w czasie deszczu i przewożą go w skrzyniach nie przykrytych. **Niejednokrotnie zresztą zwracałem uwagę, by podczas transportu, skrzy nie przykrywano płachtami. Obecnie hurtownicy zastosowali się już do mych rad.**

Prokurator: — Z jakiego powodu Krygelska została zredukowana?

Św. Połakowski: — Ze względów czysto moralnych.

Mec. Kobyliński: — Pan dyrektor oświadczył, że wydajność maszyn obecnie się zwiększyła, czemu to można przypisać?

Św. Połakowski: — Na początku posługiwano się maszynami z fabryk prywatnych, a te wymagały remontu. Drugim powodem był brak robotników wykwalifikowanych oraz brak odpowiedniego budynku.

W końcu wczorajszych rozpraw mec. Hofmokl zgłosił w imieniu obrony wniosek o zarządzenie wizji lokalnej.

Następuje krótka słowna szermierka pomiędzy przedstawicielami oskarżenia publicznego a obroną.

Po naradzie sąd zgłasza decyzję:

— Z uwagi na to, że w obecnem stadjum sprawy wizja na miejscu jest przedwczesną, sąd postanawia wniosek obrony pozostawić bez skutku.

O godz. 3-ej po południu przewodniczący zamknął posiedzenie, wyznaczając dalszy ciąg rozpraw na dziś, godz. 10 rano.

———o———

ZBROJNY NAPAD NA KASĘ SKARBOWĄ W SOKALU.

(Od własnego korespondenta).

Wczoraj zrana nadeszła z Sokala z urzędu śledczego telefoniczna wiadomość że w nocy **włamali się do tamtejszej kasy skarbowej dwaj zamaskowani i uzbrojeni bandyci.**

Pełniący służbę koło kasy stróż nocny Jan Piłuś ujrzawszy bandytów, podniósł alarm, wobec czego bandyci **zasypali gradem kul karabinowych i rewolwerowych Piłusia, a następnie zbiegli.** Piłuś jest ciężko ranny w głowę. Według jego zeznań, **bandyci mieli przyprawione długie brody.** Ekspozytura śledcza wysłała do Sokala dwóch wywiadowców.

Pierwsza przedg. warszawska.

BIAŁE NIEWOLNICTWO.

W opinji niemieckiej

obieżysasi stanowią armję bandytów.

Objektywny głos Niemca o niedoli polskich robotników rolnych w Niemczech.

Pisma doniosły, że w tych dniach wyjeżdża do Niemiec pierwsza partja polskich robotników rolnych w ilości 50000, a ogółem wyjedzie 130000. Na czasie będzie zatem przypomnienie artykułu „Berliner Morgenzeitung" o naszych obieżysasach, którzy o głodzie i chłodzie włóczą się po kraju, aby doczekać się wiosny i nędznie wynagradzanej pracy.

Komunikaty urzędowe donoszą, że pojedyńczo włóczą się na Pomorzu i Meklemburgji bezrobotni i bezdomni obieżysasi, którzy przedsiębiorą włamania i napady rabunkowe przy użyciu broni.

W Berlinie poszukuje policja włamywaczy i morderców o polskich nazwiskach i określa tych ludzi jako obieżysasów.

W starej Marchji (w Brandenburgji), wyposażone w broń palną bandy polskich obieżysasów są postrachem mieszkańców. Wiele morderstw spada na karb tych Polaków. Policji udało się ująć 54 obieżysasów, posiadających broń, podejrzanych o mord i włamanie.

Setki bezrobotnych obieżysasów wałęsa się po wszystkich częściach Prus i Meklemburgji i muszą, chcąc żyć, żebrać i kraść.

Każdego roku zdarzały się przestępstwa, przypisywane żniwiarzom, ale to były pojedyńcze wypadki, i nikt się o to nie troszczył. Ale w ostatnich latach zaczęło się dziać coraz gorzej i to, **co się tej zimy dzieje**, wskazuje, że ten (bałagan obieżysaski) stał się groźbą dla publicznego bezpieczeństwa.

10 MAREK TYGODNIOWO ZA PRACĘ NA ROLI.

„Obieżysasi" jednak nie są przestępcami. Są tylko najuboższemi istotami robotniczemi, którychby nie było w państwie kulturalnem.

Zwierzęta robocze,

pozbawione jakichkolwiek praw, towarzysze indyjskich kulisów, następcy amerykańskich niewolników, biedni ludzie, w których

poczucie społecznej niesprawiedliwości

zarówno zabiło pęd do osobistej godności, jak i świadomość klasowości lub dążność do porządku i czystości.

Ale czy ci ludzie są tylko godni pożałowania lub sądu? Czy nie słuszniej byłoby zwalczać istniejące pomimo demokracji i republiki ustawodastwo, które pozwala

małej liczbie egoistycznych panów

sprzeciwić się usunięciu tego zagadnienia niewolnictwa. Ponad pół miljona ludzi z Polski, Litwy, Galicji sprowadzała przed wojną rok rocznie wielka własność, korzystała z nich przez

czternastogodzinny dzień pracy

za żebraczą zapłatą, wynoszącą od 6 do 8 marek na tydzień, a w jesieni wyrzucała ich na bruk.

Teraz po wojnie, może ich jeszcze przybyć „tylko" 200.000 w roku, zapłata

wynosi około 10 marek tygodniowo,

ale to, co przyniosła rewolucja w zakresie regulacji czasu pracy i ochrony pracy, jest dla wielu majątków bez znaczenia.

Wprawdzie przy braku robotników cudzoziemskich wielka własność rolna byłaby poszkodowana, ale zniesienie jej byłoby tylko czynem społecznym, ponieważ jej egzystencja stała się przejściową przy dzisiejszem ukształtowaniu światowej produkcji i stanowi niebezpieczeństwo przez tamowanie rozwoju włościaństwa, oraz wyludnia kraj przez marną pracę i politykę mieszkaniową, powiększając nędzę w miastach.

KULISI CHIŃSCY STANOWIĄ SZCZYT MARZEŃ PRUSKIEGO JUNKRA.

„Junkrzy, oczywiście, śmieją się z takich wywodów, ponieważ wiedzą, że pomimo ropzraw nad konstytucją rząd i partje o reformie rolnej nie myślą.

Każda poprawa stosunków na wschód od Łaby i w Polsce przysparzałaby właścicielom wielkich majątków bezsennych nocy, jak wtenczas, na krótko przed wojną, gdy obieżysasi byli drożsi i rzadsi.

Wtenczas to postanowili junkrzy na swoich zebraniach zażądać od rządu pozwolenia

na sprowadzenie chińskich kulisów.

To byłyby w rzeczywistości idealne przedmioty wyzysku: całkiem obcokrajowcy, całkiem zależni i pozbawieni opieki prawa, cierpliwi, pilni i tak mało wymagający, że wystarczyłoby dla nich kilka worków ryżu.

Nie udał im się plan, ale myślą jeszcze o nim.

Niechby tylko nastały znowu inne czasy, niechby tylko djabli wzięli republikę, a zaczął rządzić dyktator, albo zgoła król, to wówczas przyjdą kulisi, a z nimi złote żniwa. Tymczasem jednak muszą się zadawalniać polskimi obieżysasami.

JAK SIĘ ODBYWA WERBOWANIE ROBOTNIKÓW POLSKICH.

„Procedura jest prosta: zawiadamia się biuro lub „przodownika", że potrzeba

tyle a tyle sztuk męskich i żeńskich

sił roboczych. Przodownik, człowiek mówiący po niemiecku i po polsku, werbuje w Polsce żądaną liczbę ludzi, segreguje odpowiednio do siły i wieku, płaci t. zw. „Handgeld" i odjeżdża z nimi. On też załatwia paszporty, bilety i przyrzeka analfabetom pisywanie listów do rodzin.

„Przodownik" bierze wszystko, co silne i powierza to swojemu kijowi i niemieckiej policji.

PAN „PRZODOWNIK" Z PANIĄ „PRZODOWNIKOWĄ" MAJĄ SIĘ ZNAKOMICIE, ALE ROBOTNIK POLSKI — CHOĆ POWIEŚ SIĘ NIEBOŻE!

„Zawód przodownika to intratne zajęcie: daje premje od głowy, premię akordową (t. zw. Antreiber-Prämien: nagrody naganiaczy) i osobne wynagrodzenie za każdego człowieka, który wytrzyma do końca. Pani przodownikowa z deputatów ludzi przyrządza podłe jedzenie i zyski jej z premjami męża i obrywkami przy wypłatach zapewniają temu wójtowi niewolników tłustą egzystencję.

Ale obieżysas, który często nie wie, gdzie się właściwie znajduje, a także jak długo może tam zostać, ledwie oddycha przy tej „poetycznej" robocie w pocie na słocie lub słonecznym skwarze za 17 fenigów na godzinę, a nocą śpi w

przemokniętej odzieży na mierzwie w czworakach.

Natomiast opieki niema żadnej. Ucieczka nie można, gdyż papiery i połowa zapłaty są zatrzymane. Wnoszenie skargi jest bezcelowe, ponieważ landrat jest daleko,

przytem głuchy na skargi i srogi.

Pozostaje więc tylko rezygnacja, bezdenna tępota, nienawiść i skryta zemsta. A potem idą zbrodnie, podpalenia, kradzieże, rabunki i morderstwa. Za niemi listy gończe policji i oburzenie władz, skierowane przeciw obcym zamiast przeciw tym, którzy ich do kraju sprowadzili, albo przez zdzierstwo pogrążyli w nędzy i przywiedli do zbrodni".



Pan z parasolem: — Dlaczego ty chodzisz codzień ze swoją narzeczoną na dworzec kaliski?

Pan z pieskiem: — To jest jedyne miejsce, gdzie mogę się z nią zupełnie legalnie **całować**: ludzie myślą, że żegnamy się na odjezdnem.

JANUSZ KOZ...

JEDYNAK.

Zdziś był starannie i troskliwie wychowany.

Jego włoski były pięć razy dziennie czesane i wdzięcznie opadały na ramiona. Co drugi dzień zmieniano mu bieliznę, co trzy dni go kąpano i trzy razy na tydzień przychodził do niego nauczyciel gry na skrzypcach.

Jak on się ślicznie kłaniał, jak on się umiał bawić z dziewczynkami, z jaką powagą i uczuciem deklamował wierszyki na imieninach mamy i papy!

Było to dziecko rozumne, wykwintne i starannie wychowane.

Przyszedł wreszcie czas, że oddano go do szkół.

Raz wrócił do domu z guzem na czole. Ojciec był zagniewany na szkołę, matka spłakała się i chciała odebrać go ze szkół, a dać mu domowe wykształcenie, tembardziej, ponieważ czytała raz w gazecie, że ludzie z domowem wykształceniem robią w Polsce bajeczne karjery.

Innym razem wrócił ze szkoły i przy obiedzie, przy rodzicach, zapytał:

— Mamusiu, co to jest „psiakrew"?

Matka dostała spazmów.

- Zgubiono mi dziecko! Skalano! Zdeprawowano! — wołała wśród histerycznego płaczu.

Kazano Zdzisiowi wypłukać usta odolem i raz na zawsze zabroniono mu nietylko mówić, ale nawet i myśleć o czemś podobnem.

— Jeżeli Zdziś raz jeszcze powie coś podobnego, to Zdzisiowi język odpadnie, a mama umrze.

Mama spytała:

— A któż powiedział ten ohydny wyraz?

— Kolega.

Matka wsiadła do auta i w koronkowej zarzutce pojechała do dyrektora szkoły.

— Żądam — wołała—aby ten chłopiec który szerzy zepsucie w klasie, został natychmiast wydalony!

— A cóż on takiego powiedział?—zapytał dyrektor.

Matka Zdzisia oświadczyła pod przysięgą, że za nic w świecie nie ośmieli się powtórzyć zbrodniczego wyrazu. Ostatecznie stanęło na tem, że napisała na papierze drżącą ręką „psiakrew" i natychmiast zemdlała.

Dyrektor obiecał, że da chłopcu porządną admonicję, ale wydalić go nie chciał.

Wskutek tego Zdzisia postanowiono kształcić w domu.

Od tego czasu Zdziś uczył się w domu.

Mama perfumowała Zdzisia, to znaczy nie jego samego, tylko jego aksamitne ubranko z białym kołnierzem a la Słowacki; a ciocie całowały go w buzię i przynosiły mu na imieniny jedwabne skarpetki i powieści.

Postanowiono, że Zdziś, ukończywszy szkołę domową, zostanie dyrektorem banku, albo wojewodą, albo ambasadorem.

Niebawem Zdziś, mimo bardzo młodego wieku, stał się zupełnie dojrzałym już młodzieńcem, starannie wychowanym i nad wiek rozwiniętym, tylko wzruszająco naiwnym.

Raz siedząc z matką w cukierni zapytał:

— Dlaczego niektóre panie przychodzą tu same, a potem dopiero przysiadają się do nich mężowie i tak wesoło rozmawiają?

Matka ucieszyła się ogromnie tem pytaniem, bo poznała z niego, że do szesnastego roku życia uchroniła jego duszę, białą jak konwalja, od wszeteczności światowych, opowiedziała o tym wypadku dwunastu ciociom, które po walnej naradzie kupiły mu zbiorowo w safianową skórę oprawne „Żywoty Świętych" i Tomasza z Akwinu.

Aż jasny dotąd horyzont Zdzisiowego życia zachmurzył się. Zdziś stał się blady, pod oczami porobiły mu się sińce i nie mógł już tak kaligraficznie, jak dawniej, pisać, bo ręce mu się trzęsły i był czasem jak nieprzytomny.

Przywołany doktór pokiwał głową i powiedział matce Zdzisia coś na osobności, ale ta się strasznie na tę djagnozę obraziła, nazwała go lekarzem nienormalnym i rozpoczęła Zdzisiową kurację na własną rękę, każąc mu zjadać dziennie po pięć angielskich bifsztyków i wypijać tyleż flaszek ciężkiego jak smoła porteru.

I stała się rzecz najzupełniej niespodziewana. Zdziś niedawno temu znikł z domu rodziców bez pożegnania, zabrawszy ojcu z zamkniętego biurka 1300 dolarów, a matce kasetkę z nader kosztowną biżuterją. Matka zwróciła się do policji o pomoc w odszukaniu biednego dziecka, klnąc się na wszystko, że Zdziś mógł działać tylko pod zbrodniczą hypnozą jakiegoś niesumiennego osobnika. Przypuszczenie to okazało się o tyle trafnem, że — jak policja zbadała — Zdziś nie uciekł sam, tylko w towarzystwie pewnej rzeczywiście hypnotyzująco pięknej szansonistki.

Na szczęście, wczoraj właśnie rodzice otrzymali list od Zdzisia z Paryża, aby mu przysłano osiem tysięcy franków na powrót do ojczyzny. Mniejsza suma nie wystarczy, bo ma długi w hotelu, u krawca, u jubilera i u kelnerów w Moulin de Rouge.

Naturalnie, że pieniądze mu przesłano i to nawet telegraficznie.

Wielka kampanja amerykańska

o bezwzględny spoczynek niedzielny.

W Stanach Zjednoczonych prowadzą obecnie bardzo energiczną kampanję, która popierana silnie przez organizacje kościelne zmierza do wprowadzenia t. zw.

„błękitnej niedzieli".

Chodzi mianowicie o możliwie bezwzględny spoczynek niedzielny. A więc **nie mają kursować pociągi, nie wolno będzie drukować gazet, teatry i miejsca rozrywkowe mają być zamknięte, słowem — nie wolno w niedzielę oddawać się żadnej pracy.**

Inicjatywa tej kampanji wychodzi od „Lords Day Alliance" i od „Methodist Sabath Crusade". Przewodniczący drugiego związku zapowiedział uroczyście, że

A... ryka zginie,

jeżeli spoczynek niedzielny będzie nadal znieważany. Przeciwko tej kampanja wystąpiło jednak towarzystwo „Religions Liberty Associaton of Seventh Day Adventist", które chce uważać za dzień świąteczny sobotę, wobec czego

protestuje przeciwko bezwzględnemu spoczynkowi niedzielnemu.

Cała ta sprawa wywołała obecnie w Ameryce wiele wrzawy i sporów polemicznych. Zacietrzewienie doszło do tego, że przejawia się nieraz w rękoczynach. Tak np. napadnięto na kilku przeciwników „błękitnej" niedzieli i porządnie ich obito.

—o—

I maharadża też niema czasem pieniędzy!

Posiadacz słynnego szmaragdu „oko maharadży Sennali" żyje w krańcowem ubóstwie.

Każdy maharadża indyjski posiada opinję wybańca losu, któremu fortuna nie poskąpiła złota, brylantów i wogóle — skarbów bezcennych...

Tymczasem rzeczywistość mocno się nieraz

różni ... legendy.

Niektórzy maharadżowie to istotnie ludzie bogaci. Bywają jednak między nimi ludzie o dość skąpych środkach majątkowych, a nawet — ubodzy. Rekord jednak ubóstwa odniósł maharadża Nababu (w prowincji Pendżab, który niedawno temu **zwrócił się do swoich poddanych z prośbą, aby mu**

kupili książki szkolne dla jego dzieci.

Poddani, w uwzględnieniu trudnego położenia finansowego maharadży rzeczywiście książki owe kupili. Maharadża ów mimo swego ubóstwa mieszka we wspaniałym, choć mocno

zrujnowanym pałacu.

Przodkowie bowiem jego byli kreuzusami, ale z powodu fatalnej gospodarki stracili prawie cały majątek. To też obecny maharadża

żyje tylko szczątkami dawnej, niezwykłej świetności.

Ma on wprawdzie w posiadaniu kilka wspaniałych klejnotów, ale nie chce się ich pozbyć za żadną cenę. Między innemi posiada znany szmaragd, zwany „okiem maharadży Sennali".

Pod magicznym urokiem rulety.

Samobójstwo czy morderstwo?

Zwłoki przemysłowca wiedeńskiego wyłowiono z morza.

Opinję publiczną zajmuje obecnie śmierć znanego berlińskiego przemysłowca Józefa Würfla. Wybrał się on przed kilku tygodniami na Riwjerę, aby rozkoszować się

lazurowem niebem Południa.

Przemysłowcom niewystarcza jednak kontemplacja natury. Pan Würffel szybko zaczął się nudzić. Wobec tego ruszył do Monte Carlo, aby doznać tam

fascynujących emocyj rulety.

Wkrótce stał się jednym z najzapaleńszych graczy. Widziano go w kasynie przez cały dzień. Nie miał jednak szczęścia w grze. W krótkim czasie przegrał orzeszło

15 tysięcy franków.

Pewnego dnia Würfel nagle zniknął z Monte Carlo. W kilka dni później wyłowiono z morza w małej miejscowości między Genuą a Ventimoglia

zwłoki nieznanego mężczyzny.

Po pierścieniu z oryginalnym szafirem poznano zwłoki Würfla. Würfel musiał popełnić samobójstwo w stanie chwilowej depresji, gdyż suma przegrana, jakkolwiek poważna, nie naruszyła jednak zbyt znacznie

wielkiego majątku przemysłowca.

Znaleziono nawet przy nim jeszcze parę tysięcy franków. Wobec tego wykluczona jest zbrodnia rabunkowa, jak zrazu przypuszczano. Würfel pozostawił żonę i dorosłego syna.

Piekielny koncert na strychu parterowego domku.

„Duchy" bratanka bogatego starca.

Na jednem z przedmieść londyńskich mieszkał stary,

bogaty wdowiec

Jack Harrison. Owdowiały od szeregu lat bezdzietny, prowadził życie odosobnionego odludka i dziwaka. Harrison posiadał jedynego bratanka,

przyszłego spadkobiercę

swego znacznego majątku. John mimo, iż znajdował się w przykrych stosunkach materjalnych, nie otrzymał dotąd od stryja ani złamanego szeląga.

„Za życia mego radź sobie sam! — mówił starzec. — Po mojej śmierci otrzymasz mój majątek".

Ponieważ jednak starzec cieszył się doskonałem i czerstwem zdrowiem, młodzieniec postanowił „przyśpieszyć" zbyt długi termin. W tym celu ukrył się na

strychu parterowego domku,

w którym mieszkał Harrison. Następnie po północy rozpoczął przeraźliwy piekielny koncert przy akompanjamencie wycia, zgrzytów, jęków i t. d. Koncert ten ponowił nocy następnej. Ale starzec wcale się

nie przeraził tym koncertem duchów,

lecz oznajmił o wszystkiem policji, która osadziła pomysłowego młodzieńca w więzieniu. Oburzony starzec odwiedził wyrodnego bratanka w więzieniu i oznajmił mu teraz: „Nie dostaniesz pieniędzy ani za życia mego, ani po śmierci".

Po śmiechu poznasz charakter człowieka.

W bibljotece miejskiej w Weronie odkryto przed kilku tygodniami rękopis psychoanalityka

z XVI stulecia.

Uczony ten dowodzi, iż najłatwiej poznać można charakter ludzki

po śmiechu.

Ludzie, u których w śmiechu przeważa „dźwięk a", szlachetni, żądni wesołości i użycia.

Gdy w śmiechu odzywa się litera „e", znak to nieomylny, iż człowiek ten jest

melancholijnego usposobienia,

sceptyk i ze wszystkiego wiecznie niezadowolony.

Dźwięk „i" jest dowodem

naiwności i łatwowierności,

właściwy dzieciom lub istotom niezupełnie rozwiniętym.

Natomiast dźwiękiem „u" śmieją się

łotrzy i oszuści,

skąpcy, fałszerze i inne ciemne osobistości.

—:o:—

Bandyci chińscy na rabunek maszerują z orkiestrą na czele.

Opowiadanie cudem uratowanego misjonarza.

Stosunki w Chinach charakteryzuje doskonale opowiadanie misjonarza holenderskiego ks. de Clipelle, który właśnie powrócił do Europy, wydarłszy się cudem

z rąk chińskich bandytów.

W całych Chinach grasują bandy rozbójników, zorganizowane na sposób wojskowy. Każdy oddział podzielony jest na kompanje, plutony, oraz drużyny i posiada

własną orkiestrę.

Dyscyplina wśród bandytów jest bez zarzutu, najmniejsze wykroczenie karzą śmiercią i ojciec Clipelle był świadkiem

rozstrzelania jednego z szeregowców

który wyraził się niepochlebnie o swoim oficerze.

Oddziały bandytów podszywają się pod różne idee polityczne i grabią ludność bez litości. Walka z nimi jest trudna i bardzo krwawa.

Podczas niewoli ks. Clipelle u rozbójników zdarzyło się, iż wpadł w ich ręce

pułkownik wojsk rządowych

lu-Lu. Za głowę jego zażądali bandyci okupu w postaci 500 karabinów i wielkiej ilości ammunicji. W międzyczasie jednak lu-Lu zmarł skutkiem ran.

Nie mogąc wywrzeć zemsty na żywym, bandyci uczynili to na jego zwłokach. Odcięli głowę od tułowia i ręce i tak

zniekształconego trupa

porzucili na drodze.

Ponieważ, wedle wierzeń Konfucjusza, nieboszczyk odczuwa po śmierci swe kalectwo, więc przyjaciele zmarłego, znalazłszy ciało, kazali dorobić ze srebra głowę i ręce i dopiero wtedy pochowali uroczyście ofiarę bandytów.

—:o:—

Krateczki sądowe.



Furja w grubym negliżu.

Oryginalna batalja w rodzinie Kartonów.

SKLEP PRZYCZYNĄ NIEZGODY.

Rodzina Kartonów prowadziła sklep galanteryjny przy ul. Piotrkowskiej 12. Po wyjeździe rodziców do Ameryki pomiędzy dziećmi wybuchła formalna o ten sklep wojna. Najbardziej zachłanną była panna Edzia, uważając, iż winien on należeć do niej, zwłaszcza, że miała zamiar wyjść zamąż.

Panna Edzia, a właściwie nietyle ona, ile sklep z galanterją na pryncypalnej ulicy, przypadał do gustu pewnemu młodzianowi, nazwiskiem Fogelman. Przypuścił przeto szturm do serduszka niewiasty, ślubując, iż będzie trwał bohatersko przy niej w walce z braćmi, ożeni się z nią, sklep zagarnie i powyrzuca jej braci nietylko ze sklepu lecz i z mieszkania. Istotnie odbył się wkrótce ślub panny Edzi z Fogelmanem, poczem rozpoczęła się batalja krwawa i bezwzględna. Ostatecznie jednak strony poszły na kompromis: połowę sklepu otrzymał tyt. wynagrodzenia za wprzęgnięcie się w jarzmo małżeńskie p. Fogelman, gdzie natychmiast rozpoczął intensywną sprzedaż guzików; w drugiej zaś połowie brat Edzi prowadził nadal sprzedaż galanterji.

NIESZCZEŚLIWY BUCHALTER.

Pan Karton, brat panny Edzi, nie mogąc sobie poradzić z księgowością, zaangażował p. Romana Cejtlina. zam. przy ul. Zawadzkiej 21. Pan Cejtlin mający nader poważne kwalifikacje, wielce się ucieszył otrzymując w tych podłych czasach posadę. Nie wiedział biedak, kim są państwo Fogelmanowie.

Najbardziej jątrzyła zacnych małżonków okoliczność, że p. Cejtlin odwiedzał swego szefa w mieszkaniu prywatnem przy ulicy Południowej 3. Na tem tle p. Fogelman tak pobił swego szwagra, że został skazany przez sąd pokoju na 3 tygodnie aresztu.

Decydująca bitwa jednakże odbyła się przed paru tygodniami. Udział brali: państwo Fogelowie, przyczem pani Edzia ruszyła do boju w rozpaczliwym negliżu, pan Karton tudzież p. Cejtlin, mimowoli wciągnięty w wir walki.

Pewnej niedzieli p. Cejtlin załatwiał korespondencję dla szefa, gdy oto pomiędzy tym ostatnim a szwagrem wynikła sprzeczka, która przeistoczyła się następnie w bójkę.

DOMOWE POCISKI.

Pan Cejtlin rzucił się pomiędzy walczących, pragnąc ich rozdzielić. Pani Edzia w mniemaniu, iż buchalter ma zamiar pomóc szefowi w obijaniu jej męża, wyskoczyła z łóżka, śpiesząc mu z odsieczą. Skutkiem czego znowu mąż zaczął wzywać ją rozpaczliwie do powrotu pod pierzynę. Pan Karton czynił znowu nadludzkie wysiłki wyrwania się z rąk silniejszego odeń Fogelmana, co udało mu się wreszcie dzięki pomocy p. Cejtlina. Wówczas to buchalter ściągnął na siebie gniew Fogelmana, który jął bombardować go wszelkiemi sprzętami jakie nawinęły mu się pod rękę, poczynając od krzeseł a kończąc na doniczkach z kwiatami. Pani Edzia zaś nadal uwijała się w negliżu dookoła walczących, wyrzucając strumienie przekleństw i złorzeczeń.

Po tej awanturze strony zaskarżyły się wzajemnie do sądu pokoju 9-ego okręgu. Obydwie sprawy odbyły się wczoraj.

Pan sędzia Roszkowski skazał wojowniczego Fogelmana na trzy dni aresztu, Romana Cejtlina zaś uniewinnił.

Sza-wicz.

Dzień w Łodzi.

—:s:—



Bez posady trudno żyć!

Golgota uczciwej kobiety.

x) 20-letnia Zofja Bugajna, rodem z Mazowsza, w pogoni za chlebem zahaczyła o Łódź.

Miała szczęście, bowiem już dnia następnego

została służącą

u dość zamożnego kupca. Zosi powodziło się nieźle, lecz trwało to bardzo krótko; w początku marca chlebodawca jej zamknął przedsiębiorstwo i z rodziną wyemigrował do

Rumunji.

Bugajna pozostała bez dachu i chleba. Tułała się dni kilka żebrząc o pracę i w końcu padła z głodu i wycieńczenia.

Pogotowie odwiozło Zofję do zbiorni skąd wyszła przed paru dniami. Sił jej przybyło więc z całem zaparciem się poszukiwała roboty w dalszym ciągu, byle by tylko móc

wyżyć.

Niestety wszystkie wysiłki Bugajny natrafiały na jedną odpowiedź: Stagnacja! Nie możemy przyjąć. Aby nie umrzeć z głodu spieniężyła skromne ruchomości a nawet

chustkę,

jedyne zabezpieczenie przed dokuczliwem zimnem; grosze wyczerpały się szybko, znowu Zofja została z pustką w kieszeni, zniechęcona postanowiła przeciąć nić swego żywota.

W dniu onegdajszym za użebraną złotówkę kupiła

esencji octowej,

którą wypiła w bramie domu, przy ulicy Podleśnej. Trucizna zaczęła działać szybko; Bugajna wijąc się z bólu

upadła na ziemię.

Zwabieni jękami przechodnie zawezwali karetkę pogotowia

kasy chorych,

która 20-letnią dziewczynę odwiozła do szpitala miejskiego w stanie osłabionym.

Pamiętajcie o inwalidach wojennych!

Smutne jest życie ubogiej dziewczyny.

Samobójstwo jedyną drogą wyjścia z rozpaczliwej sytuacji.

(n) Życie Eugenji Prochackiej — bez stałego miejsca zamieszkania, — składało się z całego pasma

niepowodzeń i udręczeń.

20-letnia dziewczyna, córka bogatego kupca sosnowieckiego, po stracie matki cierpiała nędzę, mimo, że w domu ojca panował dostatek.

Ojciec po śmierci żony ożenił się po raz wtóry; od tego czasu w domu panowała niepodzielnie

macocha,

nieprzejednany wróg Eugenji.

Dziewczyna w domu ojca pracowała na równi ze służącą i za to otrzymywała liche pożywienie i znoszone już odzienie.

Rówieśnice Geni dawniej nieodłączne przyjaciółki poczęły od niej stronić, a na widok źle ubranej Prochackiej

wybuchały niepohamowanym śmiechem.

Dziewczyna ubolewała nad swą dolą i zniechęcona zapominać poczęła o swych obowiązkach; macocha spostrzegłszy to

biła Genję,

pozostawiając na jej ciele liczne sińce.

Ojciec miast stanąć w obronie katowanej córki, zachowywał się zupełnie biernie, ba nawet pomagał macosze w biciu.

W takich warunkach dalszy pobyt Prochackiej w domu ojca

stał się niemożliwym.

Dziewczyna obarczona pracą ponad siły, a w dodatku morzona głodem, chudła i mizerniała z dnia na dzień. Z kipiącej

zdrowiem i życiem

Eugenji pozostał jedynie cień.

Nie mogła tak dłużej wytrzymać, a chcąc zakończyć swą mękę

napiła się jodyny.

Denatkę wczas spostrzeżono i wyratowano z objęć śmierci.

Po nieudanym zamachu ojciec i macocha byli względem Geni

uprzedzająco grzeczni,

skoro jednak dziewczyna odzyskała zdrowie, zaczęły się ponowne dokuczania.

Wtedy Prochacka uciekła z domu i po kilku tygodniach włóczęgi dotarła do Łodzi. Tu wiodła życie

gorsze jeszcze

aniżeli w domu ojca.

Bezdomna przepędzała noce w domach noclegowych, gdzie się stykała z rozmaitemi szumowinami. Tu chciano Prochacką zaciągnąć w szeregi prostytutek; na domiar złego Geni dokuczał głód.

Zdarzało się, że po całodziennej bezcelowej włóczędze

zgłodniała

wielce, bez łyżki strawy, kładła się na spoczynek. Genia nie mogąc podołać biedzie, postanowiła oddać się prostytucji, w ostatniej jednak chwili stanęła w jej wyobraźni cała

ohyda tego życia.

Wtedy to Prochacka po raz wtóry targnęła się na życie. Za kilkadziesiąt groszy kupiła jodyny i wypiła ją

w bramie domu

przy ulicy Gdańskiej 93.

Wijącą się w bólach młodą dziewczynę spostrzegli przechodnie i wnet zawiadomili pogotowie.

Lekarz po udzieleniu pomocy odwiózł

dwukrotną samobójczynię

do szpitala miejskiego w stanie nieprzytomnym.

Dobrana „socjeta" familijna.

Kłótnie przy stole zamienione w krwawą bójkę.

(x) Pani Anastazja Gerbich, zamieszkała przy ulicy Srebrzyńskiej, wyprawiała z okazji chrzcin

7-ej z rzędu pociechy

huczną libację, na której podejmowała samych krewnych tegoż nazwiska. Raczono się obficie mocną, hulanka przeciągnęła się do świtu, a humory gości były

nadzwyczajne.

„Familjanci" pani Anastazji niekrępowani obecnością obcych pletli dość

grube kawały,

a wreszcie zaczęli wypowiadać swoje bóle. Zabawa przybrała charakter pogawędki wielce dokuczliwej, bowiem jeden z kuzynów niejaki Frytz Gerbich czuł oddawna

urazę

do p. Anastazji, a podpiwszy sobie nieźle wypowiadał zgryźliwe zdania pod adresem gospodyni. Pani Anastazja przez wzgląd na gościnność znosiła docinki, skoro te jednak

przebrały miarkę

dała upust swej wymowie, obrzucając kuzyna wielce obraźliwemi epitetami. W miarę kłótni goście p. Anastzji podzielili się na dwa obozy. A że wszystko to toczyło się po zbyt licznych kieliszkach wódki, przeto

wynikła bójka

wielce sroga. Sypały się przekleństwa, a panującą wrzawę podtrzymywał huk tłuczonych sprzętów i naczyń.

Kres bójce, jak to zazwyczaj bywa położyła policja.

Pokaleczonych i posinionych

familjantów w osobach: Frytza, Anastazji, Wilhelminy, Erny, Adolfa i Stermana Gerbichów pociągnięto do odpowiedzialności sądowej.

Litościwy pasażer

i kuty na cztery nogi oszust.

(x) Po kilku miesiącach uciążliwych podróży Icek Montlich, łodzianin

z krwi i kości

zbliżał się do Łodzi.

Pociąg pędził, a jemu się zdawało, że posuwał się żółwim krokiem; wreszcie stalowy kolos stanął na dworcu Łódź-Kaliska. Pan M. wyskoczył żwawo z pociągu i

opakowany walizkami

zmierzał ku szeregowi dorożek.

Wtem zastąpił mu drogę tragarz, który

płaczliwym tonem

począł prosić o pozwolenie odniesienia walizki.

Mantlich zgodził się i powierzył biednie odzianemu tragarzowi walizy. Szli razem: tragarz opowiadał o swoich ciężkich kolejach życia, wkońcu zaś zauważył, że od samego rana nic jeszcze

nie jadł.

Tknięty litością M. wszedł do jednej z podrzędniejszych restauracji, gdzie na swój koszt nakarmił tragarza.

W dalszej podróży już niedaleko domu panu Ickowi przypomniało się, że nie ma

papierosów.

Poleciwszy tedy tragarzowi, aby cokolwiek poczekał, sam wszedł do sklepu. Tragarz, „nie mogąc się doczekać" powrotu klienta, odszedł, znikając w

krętych bocznicach

ulicy Franciszkańskiej wraz z bagażem, przedstawiającym wartość około 700 złotych.

Mantlich, po wyjściu ze sklepu, spostrzegłszy

nieobecność tragarza

przestraszył się niemało.

Próżne były poszukiwania. Mantlich zrozumiał, że padł ofiarą sprytnego oszusta i zameldował o kradzieży w odnośnym komisarjacie P. P.

F. M. AYRES. 25)

CZY PAMIĘTASZ?...

POWIEŚĆ.

Po obiedzie wzięłam książkę do ręki, ale nie mogłam zebrać myśli. Przed memi oczyma stał ciągle Lowen. Co on teraz porabia? Czy Marja mu się lepiej podoba odemnie? Nie miałam wiele wątpliwości co do odpowiedzi, jakąbym na to pytanie usłyszała.

Przypomniałam sobie także ową panią, która siedziała obok niego w samochodzie. Nie widziałam jej twarzy. A może to była Marja? Postanowiłam pójść na jutrzejsze przedstawienie amatorskie; ale już po chwili zrezygnowałam z tego planu. Widok Lowena występującego razem z Marją na scenie sprawiłby mi niewymowną przykrość. Z drugiej jednak strony zapytywałam sama siebie, czy nie będę więcej cierpiała, jeżeli pozostanę w domu i zazdrość będzie mi malowała fantastyczne obrazy?

Odrzuciłam książkę i przymknęłam oczy. Czy młoda, zaręczona panna była kiedykolwiek w podobnie rozpaczliwem położeniu? — pomyślałam z goryczą. I cóż mogłam uczynić? Nic!

Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju weszła służąca.

— Pan Lowen, — zameldowała i wyszła.

Jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wszystko nagle się zmieniło. Nie byłam więcej smutna i przybita. Miałam wrażenie, jakgdyby mi spadł kamień z serca. Fala krwi zabarwiła mi policzki i z pośpiechem wstałam. Nie był to jednak mój narzeczony, lecz jego brat przyrodni Henryk.

Jestem pewna, że spostrzegł rozczarowanie, jakie się odmalowało na mej twarzy, gdy ujrzałam go w drzwiach. Mój rumieniec i drżące usta dopowiedziały mu resztę.

— Czy Olafa niema? — zapytał.

Widziałam dobrze po jego minie, że wiedział doskonale, gdzie jego brat się znajduje.

Olaf był na próbie generalnej przedstawienia amatorskiego, które miało się odbyć nazajutrz wieczorem.

— Jest na próbie, — odparłam. — czy pan o tem nie wie?

— Słyszałem coś o tem, ale ponieważ sam nie wezmę w tem udziału, nie interesuje się tem zbytnio. Pani nie pójdzie?

— I owszem, zdecydowałam się pójść! — wybuchnęłam.

Henryk rzucił mi dziwne spojrzenie.

— A Olaf powiedział, że pani nie chce pójść...

Usiadł obok mnie i zanim mogłam przeszkodzić, ujął mą rękę. Krzyknęłam, ale natychmiast opanowałam moje podniecenie. Siedzieliśmy obok siebie, ręka w rękę, jak zakochana para. Patrzyłam zadąsana na odbicia naszych postaci w wiszącem naprzeciw lustrze. Miałam ochotę zerwać się i uciec, ale straciłam całą energję.

— Biedna maleńka, — rzekł ze smutnym uśmiechem Henryk. — Wiem o wszystkiem i żal mi pani. Pani brat zna Olafa. Jako mężczyzna powinien go był wyrzucić za drzwi, gdy się zaczął starać o rękę pani.

Próbowałam mówić; ale me usta były zimne, jak lód i nie mogły wykrztusić ani jednego słowa.

— Jeżeli pani wyjdzie za niego zamąż, będzie pani nieszczęśliwa przez całe życie, — podjął znowu. — Przyszłość przyniesie pani tylko rozczarowania i troski. Olaf nie potrafi kochać kogokolwiek, a zwłaszcza nie będzie umiał obdarzyć uczuciem takiej kobiety, jak pani. Pani jest zbyt dobra i zbyt naiwna! On by się zanudził w towarzystwie pani już po upływie tygodnia. Nie pojmie bogactwa uczucia, które kryje się w sercu pani...

Siedziałam zrezygnowana i przysłuchiwałam się zniechęcona. Nagle jednak zaszła we mnie jakaś zmiana i krew zaczęła mi wrzeć z gniewu. Wyrwałam rękę z dłoni Henryka i odskoczyłam od niego. Czułam jakiś dziwny przypływ energji. Nie chciałam się pogodzić z tem, żeby mi okazywano litość i współczucie.

— Pan skierował swoją sympatję pod niewłaściwym adresem, — rzekłam z sarkazmem. — Jeżeli pan sądzi, iż kocham jego brata więcej, aniżeli on mnie kocha, to pan się bardzo myli. Rozumiemy się doskonale i ułożymy wszystko jaknajwygodniej. On pójdzie swoją drogą, ja też swoją, a otrzymamy oboje to, o co nam chodzi: pieniądze!

Zbliżyłam się do lustra, aby poprawić loczek, który mi się zsunął na czoło. Dziwiłam się, że moja ręka nie drgnęła przytem. Miałam wrażenie, że moje serce, które przedtem było pełne niepokoju i obaw, nagle się opancerzyło przeciw wszelkim uczuciom i wzruszeniom.

Henryk zranił moją dumę kobiecą. Znienawidziłam go, albowiem litował się nademną. Spojrzałam nań dumnie i rzekłam:

— Przypuszczam, że pański brat w nie mniejszej mierze odemnie zasługuje na oznaki pańskiej sympatji.

Zanim zdołał coś odpowiedzieć, wszedł mój ojciec. Po chwili pożegnał się i opuścił nasz dom.

(c. d. n.)

W labiryncie życia łódzkiego.

—x—

W gmachu Karzącej Temidy.

Dwa obrazki łódzkie.

Franek i Józef — dwaj bracia — lecz jakże niepodobni! Franek jest słuszny ciemnowłosy lat 17, Józek, mały, ściśnięty w sobie, z gęstą czupryną. Mimo, że jest młodszy tylko o dwa lata od brata, wygląda na 12 lat.

Tylko pod jednym względem są do siebie podobni: w nierozróżnianiu tego co „moje i twoje". Obydwaj chłopcy byli już karani i dzisiaj znów mieli odpowiadać za kradzież. Skradli dwa worki i rurę do pieca. Zaniedbanemu ich wychowaniu — winna wojna. Ojciec był przez wszystkie lata wojny na froncie, matka zaś wyszkoliła obudwu chłopców po prostu na złodziei.

Z dni najcięższej niedoli pozostał im zwyczaj, uważania choćby najmniejszej drobnostki, za artykuł, który da się spieniężyć.

Mały odpowiada z aresztu, większy z wolnej stopy, bo potrafił dowieść, że w ostatnich czasach pracował. Sposób ich bronienia się, dowodzi smutnego faktu, że sala rozpraw nie jest im nowością. Każdy z nich dostał 14 dni aresztu.

Józek, który podczas wyroku manewrował rękoma po twarzy i wycierał oczy, odzyskuje znów równowagę, gdy sędzia zapytał, czy przyjmuje karę.

— Czternaście dni — to zawiele — odpowiedział filozoficznie.

— A więc odwołujesz?

— Tak!

Starszy zaś brat jest zda się nawet mile zaskoczony łagodnym kary wymiarem, bo przyjmuje z całą gotowością. Prosi tylko o odłożenie terminu.

Sędzia: — Po co ci to? Nie masz i tak roboty. Im prędzej się z tem załatwisz tem lepiej...

— Tak, ale teraz dostaję zapomogę dla bezrobotnych. Tak długo wpłacałem, na ten fundusz, chciałbym więc mieć coś z tego.

Sędzia: — Zapomoga dla bezrobotnych nie jest kasą oszczędności, do której się wkłada, by mieć coś z tego w razie potrzeby. Jest tylko ubezpieczeniem przeciw nieszczęściu bezrobocia.

Wreszcie jednak odkłada mu sędzia karę na czternaście dni.

* * *

Sądy miałyby może o 50 proc. mniej skarg o obrazę honoru, gdyby większa część domów w Łodzi nie była tak niezręcznie budowana, że kobiety przy domowej pracy muszą się ciągle spotykać, przy wodociągu, na strychu, lub w piwnicy. Najczęstszym wypadkiem spornym jest trzepanie.

Taki wypadek był wczoraj przedmiotem skargi sądowej. Na przedmieściu X mieszka w parterze ze swą rodziną handlarz owocami, na pierwszem piętrze oficer z żoną. Sąsiadka z parteru patrzy już oddawna złem okiem na „kapeluszową" z piętra.

Z trzepaniem zwłaszcza, ciężka bardzo sprawa. Z okna na ulicę trzepać nie wolno..., trzepać zaś z balkonu — można się narazić na awanturę, jaka się przytrafiła młodej porucznikowej.

W tej właśnie chwili, gdy czyściła z okna balkonowego dywanik z przed łóżka, wyszła siedemnastoletnia córka owocarki na podwórze wołając: „A to ci, świństwo!" Zaraz przybiegła jej w sukurs mamusia i dodała od siebie: „A to ci dziadowska hołota!"

Oskarżone mamusia i córunia stanęły osobiście. Mama tłumaczyła się, że pod dziadowską hołotą miała na myśli „panią dozorcową", która ciągle plotkuje z jej pociechą. Koronny świadek skarżącej, posługaczka Niemka wykręciła się, że nie rozumie po polsku. Pocóż „zasypywać" swoich ludzi?

Proces skończył się chudą ugodą, przy której jednak nie rozstrzygnięto zawiłego problemu — gdzie właściwie wolno trzepać?

Humor zagraniczny.

Zna jego pracę.



Literat: — Horrendum, wylałem atrament! Cała moja praca na nic.
Żona: — Nic strasznego! I takby się dostała do kosza.

Grosz wdowi na cele publiczne dają tylko najubożsi.

„Grube worki" chciwie pilnują swych skarbów.

Nasze „grube worki" są mocno i ściśle zawiązane. Żaden grosz stamtąd na cele publiczne nie wypada.

Jeszcze jaki taki umierając, zapisze coś miastu, zostawi zbiory, czy coś podobnego — ale za życia to mu nic ani „z nosa nie kapnie"!

Swojskich dobroczyńców z tych grubszych Łódź jakoś dojrzeć nie może, ani zresztą inne miasta polskie. Umierają miljonowe arystokratki, czynią wielkie zapisy dla swoich... kamerdynerów — ale dla ogółu... nic.

Co zaś do darów na rzecz dobra publicznego za życia, to i arystokratyczne i demokratyczne grube worki są dziwnie solidarne w tem, „żeby nie dać.

Mamy sporo ludzi, którzy przyszli „z nędzy do pieniędzy". Słyszeliśmy o dyrektorach banków, którzy zrobili grube majątki, choć ich banki zeszły na psy.

Za czasów inflacji i same banki opływały w olbrzymią gotówkę, ale żadnemu bankowi nie przyszło na myśl zbudować nawet dla siebie gmachu, lecz wykupywały one kamienice, odbierając dziesiątkom ludzi dach nad głową.

Słyszeliśmy o takich, co budując wielkie gmachy publiczne, zdołali dla siebie także przytem zbudować okazałe domy — taki jednak się nie znalazł, coby na cel publiczny coś zbudował. Ofiarność na cele publiczne nie jest naszą zaletą.



Dżuma plotkarstwa.

Skąd u nas powstaje ta zastraszająca dżuma plotkarstwa? Myślę: z powodu, że zadużo ludzi ma zadużo czasu do twórczości i zadużo ludzi ma zadużo czasu do wysłuchiwania.

Resztę robi ludzka, bardzo ludzka uciechą na temat, że bliźni nasz może jest kanalią. Warto widzieć twarz rodaka gdy mu ktoś zakolportuje, że Ignacy podobno coś gdzieś ukradł... Ignacy, od którego właśnie wraca z obiadu... Jaka radość z tej nowiny, jakie ożywienie! Zapomni w takiej chwili o ciężkich czasach! Z ust pada na pół zdumione, na pół entuzjastyczne: „nie może być?" — i nim kolporter dokończy rewelacji — już nasz rodak, natychmiast, elektrycznie czyni pół obrotu do swego sąsiada i pełen zmieszania:

Witoldzie, słyszałeś? Ksawery przysięga się, że Ignacy włamał się wczoraj do banku?

Witold Eustachemu już powie, że Ignacego schwytano wraz z szajka bandytów — i nim dzień się skończy, kilkaset osób w ojczyźnie żyje uszczęśliwionych tem, że ich znajomy jest nędznikiem. Mężowie żonom w chwilach najpoufniejszych zwierzeń szepcą w ucho: „Ignacy jest złodziejem — tak jak za dawnych czasów szeptano: „kocham cię, aniele!"

Atmosfera polskiej łatwowierności tak jest plotce podatna, że możesz do poważnego, wydawałoby się rozumnego człowieka przyjść i powiedzieć mu, że ten a ten osobnik fałszował weksle, popełnił bigamję, pozostawił na bruku żonę z trojgiem dzieci, był na utrzymaniu, zarywał biedne wdowy i sieroty, że uprawia perwersje erotyczną (najnowszy motyw), że podpalił dom — i w 75 procent wypadkach uwierza.

Choćby to dotyczyło jednostki, znanej z uczciwości — uwierza.

Choćby źródłem wersji była osobistość najbardziej szubrawa, otarta o kryminał — uwierza!

Strumień wrzącej wody zalewa potok wymyślań.

Energiczna krawcowa.

W małym domku drewnianym przy zbiegu ulic Podrzecznej i Stodolnianej mieszka krawiec Rozenblum. Biedny ten człowiek, nie mogąc sobie pozwolić na przyjęcie czeladnika,

pracuje sam

do późnej nocy.

Ten stan rzeczy oburzył do żywego p. Mordke Tenenbauma, również krawca. I oto, gdy nocy wczorajszej o godzinie 12.30 przechodząc ujrzał

pochylonego nad maszyną

swego kolegę po fachu dał upust oburzeniu swemu w formie przerażających krzyków i wymyślań, żądając natychmiastowego przerwania pracy. Nagle wrzasnął głosem nieludzkim bo

oto lunął mu na głowę

strumień wrzącej wody. To energiczna małżonka pana Rozenbluma uraczyła tak niedyskretnego pana Mordke. Na skutek przeraźliwych krzyków przywołował na miejsce zajścia oddział... bałuckich nożowców, którzy stanęli po stronie oparzonego zmuszając panią Fajgę

do rejterady.

Tenenbauma zaś odwieźli dorożką do jego mieszkania przy ulicy Młynarskiej.

—o—

Głośne lamenty pani Jenty.

Cóż na to powie mąż?

Pani Jenta Jakubowicz przyjechała wczoraj z Konstantynowa do miasta Łodzi w celu poczynienia

pilnych przedświątecznych zakupów.

Udała się przeto do hal targowych przy ulicy Nowomiejskiej, pragnąc zaopatrzyć się w towar na garnitur dla małżonka i dla siebie na suknię. Gdy tak chodziła od straganu do straganu wpadła w oko

paru młodzieńcom

nie z racji swej urody, lecz z innych nader niegodziwych względów. Panom owym rozjarzyły się oczy na widok

grubej gotówki

pani Jenty.

W pewnej chwili otoczyli ją, a jeden zademonstrował zdumionej kobiecinie parę sztuk wspaniałych brylantów za cenę bagatelną. Pani Jenta wielką miała chęć na te „okazyjne" klejnoty, nie mogła się jednak

zdecydować

Oszołomiona zaś jednoczesnym szwargotem młodzieńców nie zauważyła, że jeden z nich wyciągnął jej z kieszeni

300 złotych.

Dopiero gdy znienacka opuścili ją, pani Jenta spostrzegła zniknięcie pieniędzy. Rozpacz jej nie miała granic, a naskutek jej

głośnych lamentów,

zebrał się wielki tłum wyrażając jej swe ubolewanie. Pani Jenta oświadczyła, iż boi się wracać do Konstantynowa, mąż bowiem będzie jej czynił gorzkie wyrzuty, że oto wraca bez zakupów i bez pieniędzy.

Odszukaniem „farmazonów" zajęła się policja.

SPORT.

Błotna „Kuracja" piłkarzy.

O puhar P. Z. P. N.

Wczorajszy dzień przeszedł dla piłkarzy pod znakiem kuracji. Bowiem błotni ste topiele, jakich oni używali były środkiem, uświęcającym cel, a tem samem podwyższającym wartość puharu, o który ubieg. się trzeba nieraz poświecić tyle wysiłku i to nieraz napróżno.

Kilkudniowa słota przerobiła boisko na swój sposób do tego stopnia, że zrezygnowano z całego szeregu rozgrywek towarzyskich, prócz puharowych.

Tak więc na boisku ŁKS-u zmierzyli sie GMS — ŁTTG oraz przy ul. Wodnej WKS — Siła.

Obydwa spotkania urozmaicono drużynami A i B klasowemi.

Trzeba przyznać, iż B-klasowcy tym raze spisali się dziarsko i choć WKS-owi zwyciestwo przyszło gładko, niemniej na to zasługiwał i GMS, mimo że posiadał poważnego przeciwnika.

Dobrze to świadczy o młodszych drużynach, które mogą zawstydzić niejeden A-klasowy zespół.

Ł. T. S. G. -- G. M. S. 3:2 (0:1).

Ciężkie zwycięstwo zespołu A-klasowego.

Jak zgóry przewidywano, zawody powyższe **należały do interesujących**, a to z **tego względu, iż z jednej** strony wystąpiła jedenastka przygotowana do boju, ambitna i ofiarna, z drugiej — zespół bez zaprawy, próbny jedynie pewny siebie.

GMS miał więcej gry, więcej okazji do zwycięstwa,

mimo, iż grał w dziesiątke.

ŁTSG **okazawszy się poraz pierwszy w obecnym sezonie, zaprezentował sie mało korzystnie, przyczem znani już wszystkim gracze tej drużyny pozmieniali dotychczasowe swoje role. I tak Wieliszek wtłoczył sie na środek ataku. Pogodzińskiego zepchnięto do pomocy. Mildemu niewygodnie było na obronie poszedł więc do ataku, miejsce Wieliszka zajął Wolfanger.**

Jedenastka GMS-u znana już jest nam z kilkakrotnych występów, tak, że nie będziemy się nią szczegółowo zajmowali.

Atak GMS dysponujący lepszą częścią boiska, utrzymuje się stale w ofenzywie i mimo to

zdobywa zaledwie jeden punkt,

podczas gdy zwycięscą staje sie wprost bezradnym na grząskim gruncie.

GMS nie wykorzystuje na początku rzutu karnego.

Gra urozmaicona komicznemi scenami na błocie utrzymuje się

do przerwy 1 : 0 dla GMS.

Po zmianie stron przebieg gry zdaje się zapowiadać korzystnie nadal dla GMS który przez długi czas utrzymuje zwycięstwo

wstosunku 2 :-1.

lecz rutyna ŁTSG nie pozwala im dalej na upokorzenie się przed B-klasową drużyną przeprowadzają oni kilka pomyślnych akcyi i krótko przed przerwą

ŁTSG przechyla zwycięstwo na swoją korzyść ze stosunkiem bramek 3 : 2.

Dalszy wysiłek dziesiątki GMS udaremnia sędzia p. Lange, odgwizdując wreszcie koniec tych bądź co bądź frapujących zawodów.

Publiczności, mimo pogody, niewiele.

GMS na porażkę tym razem nie zasłużył.

W. K. S. -- Siła 5:3 (4:0).

SIŁA TYM RAZEM BYŁA BEZLITOSNA

Mało kto w spotkaniu tem przewidywał porażkę Siły i niewiele do tego była zapewne przygotowana drużyna WKS.

Stało się inaczej i WKS zasłużenie wyeliminował Siłę od dalszych rozgrywek puharowych.

Zespół wojskowy, mając w swoim gronie kilka poważnych filarów, nie szczędził sobie zapału i werwy do gry, a grając już w pierwszej połowie na gorszym terenie, pod wiatr i słońce, zwalczył lekko 4 punkty, zapewniając sobie zawczasu zwycięstwo.

Siła grała chaotycznie, ociężale i bez głowy. Kilkakrotnie przeprowadzone przez nich pomyślne ataki nie mogły mieć pomyślnego zakończenia, ponieważ nie było wykonawców — strzelców.

Oczywiście główna podpora WKS i wichrzycielem ataków Siły

był świetny jak zwykle Karasiak.

Pierwsza połowa gry prowadzona ostro i spokojnie kończy się niespodziewanem zwycięstwem wojskowych

w stosunku 4 : 0.

Po zmianie stron daje się zauważyć u pokonanych pewne otrzeźwienie i chęć zakończenia tego niefortunnego spotkania wynikiem „honorowym".

Jeszcze jeden punkt zwycięski WKS-u nie osłabia zacięcia Siły i na jakieś 20 m. przed końcem gry, zaczynają odbijać stracone bramki.

Zdążyli powetować tylko 3 bramki,

w tem jedna z karnego. Do zupełnego zrewanżowania się zabrakło im czasu i... talentu u strzelców ataku, którzy tak długo manewrowali piłką pod bramką WKS, aż stała się ona łupem przeciwnika.

Druga połowa gry prowadzona była ostro i często faul przez obydwie strony, na co sędzia za mało zwracał uwagi.

Ciekawy wypadek dał się zaobserwować na tych zawodach, jak dwaj bracia, występujący przeciwko sobie uciekali się nawet do fauli zbyt rażących, tak, że sędzia zmuszony był jednego z nich (gracza Siły) usunąć.

Zwycięstwo przypadło słusznie drużynie wojskowych, która wydała ze siebie wszystko, co mogła, aby dopiąć zwycięstwa, czego nie można powiedzieć o stronie przeciwnej.

U zwycięscy wyróżnił się Karasiak na obronie, lewy pomocnik i lewa strona ataku; wogóle lewa część drużyny.

U Siły najwięcej pracowała obrona z Kirszbaumem na czele. Atak niezły, ale bez strzelców i bez głowy pod bramką.

Zawody prowadził p. Sztencel. K.

Mistrzostwo w „siatkówkę".

Wyższa Szkoła Zgr. Kupców kandydatem na mistrza.

W dniu 13 marca w sali Szkoły Zgromadzenia Kupców, Narutowicza 68, przy licznie zebranej publiczności (500 osób) odbyły się następujące rozgrywki o mistrzostwo łódzkich szkół średnich; i tak na pierwszy ogień poszły drużyny:

GIMN. WASZCZYŃSKIEJ — GIMN. P. PRYSEWICZ 24:22 (15:7 i 7:15).

Jak z samego wyniku widać, gra prowadzona była zmiennie, w pierwszej połowie druż. gimn. Waszczyńskiej bije przeciwnika 15:7, grając przytem z kolosalnem szczęściem. **Po przerwie druż. p. Prysewicz rewanżuje się takim samym wynikiem 15:7 na swą korzyść — obie przeto drużyny posiadają równą ilość punktów i gra zostaje przedłużona o dalsze dwa punkty,** które ostatecznie zdobyła drużyna p. Waszczyńskiej. Sama gra obfitowała w szereg ładnych momentów, mimo nerwowej gry drużyny p. Prysewicz.

Do drugich z kolei rozgrywek stanęły drużyny:

GIMN. ROTHEROWEJ — NIEMIECKIE GIMNAZJUM 28:26 (15:11 i 13:15).

Obie drużyny grają równomiernie, wynik winien wypaść na korzyść druż. Niemieckiego Gimnazjum.

Z miejskich szkół średnich spotkały się:

GIMN. P. WIŚNIEWSKIEGO — SZKOŁA HANDLOWA TULINA 30:13 (15:8 i 15:5).

Drużyna szkoły Handlowej Tulina pierwszy raz wystąpiła oficjalnie, to też nic dziwnego że grała cały czas z tremą.

Drużyna Gimn. Wiśniewskiego przyswiiła sobie system prawidłowej gry wskutek czego jest ona jako całość bardzo niebezpieczna.

Do najładniejszych zawodów zaliczyć należy zawody między przypuszczalnym mistrzem.

WYŻSZA SZKOŁA ZGROMADZENIA KUPCÓW — MIEJSKIEM SEMINARJUM NAUCZYCIELSKIEM 30:10 15:6 i 15:4).

Wynik z góry przesądzony, a niektórzy twierdzili że nastąpi rzeź niewiniątek. **Drużyna „Kupców" przedstawia się okazale, gracze jej to rośli chłopcy, dumni, że im właśnie ma przypaść tytuł mistrza w piłkę siatkową na r. 1926.**

Pierwsi wchodzą na boisko „kupcy" pewni zwycięstwa i to wysokocyfrowego, widać to z przygotowania się poszczególnych graczy.

Zawody sędziował p. Stempel.

Zaczyna grę Seminarjum i odrazu źle serwuje. „Kupcy" jak wyżej powiedziałem za pewni siebie **tracą w pierwszych pociągnieciach 2 punkty, co publiczność przyjęła licznemi oklaskami.**

Po kilku minutach inicjatywę ujmują „Kupcy" bijąc raz po razie pewne piłki w końce boiska, tak, że mimo usilnych starań odparować ich nie byli „Seminarzyści" w stanie. Do przerwy wynik 15:6 na korzyść „Kupców". **Po przerwie drużyna „Kupców" gra jak z nut — piłka przerzucana z rąk do rąk raz po raz „szczupakiem" pada pod nogi przeciwnika.**

Do końca kompletna przewaga „Kupców" wynik 15:4.

Nadmienić należy, że obie drużyny są bardzo dobrze wyrobione technicznie.

Sobotnie rozgrywki zakończyły drużyny:

GIMNAZ. SKORUPKI (OŚWIATA) MIEJSKA SZKOŁA HANDLOWA 30:19 15:12 i 15:7).

eMcz ten również ciekawy jak i poprzedni obfitował w najładniejsze w dniu tym momenty.

Obie drużyny, a szczególnie Gimn. Ks. Skorupki posiadają tak zwane **parki które przy spotkaniu się w linji ataku strzelają potrzebne i upragnione w górę „szczupaki".**

Gimn. Ks. Skorupki, obecnie po częściowem wyzbyciu się przetrzymywania piłek i przenoszenia „szczupaków" będzie przedstawiało dość groźny zespół, grający myślą i siłą. Najlepszym graczom tej drużyny radzimy wyzbyć się gry jedną ręką.

Handlówka gra nerwowo, przez co planowej kombinacji nie może przeprowadzić. Sędziował zawody te p. Chełmicki. K.

WYNIKI PIŁKARSKIE W KRAJU I ZAGRANICĄ.

PTC — Burza 4:1 (0:1) — bramkarz Burzy poturbowany.

Mistrz TKS — Bałtyk 7:1 (4:0).

Iskra (Siemian) — Naprzód (Lipiny) 1:1 (0:0).

ITC — AKS — 4:0 (1:0).

Katow. 06 — Ruch — 3:3 (1:0)

Warta — Unia 6:3 (5:2).

Warszawianka — Legja 3:0 (1:0).

Skra — Orkan 3:0 (2:0).

Cracovja — Wawel 5:0 (1:0).

Austrja — Czechosłowacja 2:0 1:0).

Praga — Wiedeń 1:1 (0:1).

Repr. Paryża — Repr. Berlina 1:3.

Belgja — Holandja 1:1 (0:1).

Repr. Amatorska Wiednia — Dolna Austrja 6:0 (4:2).

Dokąd pójdziemy wieczorem?

MIEJSKA GALERJA SZTUKI W ŁODZI. Wystawa malarstwa, rzeźby i grafiki. Czytelnia i audycje radjofoniczne. (Park im. Sienkiewicza.) Otwarta od godz. 10 rano do 23 w.

MUZEUM MIEJSKIE (Piotrkowska 91). Działy: etnograficzno-historyczny i przyrodniczy. Otwarte codziennie od 10 do 14 i 16 do 19.

TOWARZYSTWO „WIEDZA", ul. Piotrkowska Nr. 103. Czytelnia pism dostępna dla wszystkich od godz. 5 do 8 codziennie.

CZYTELNIA TOW. PRZYJACIÓŁ FRANCJI (Piotrkowska 103) otwarta codziennie od godz. 6 do 8 wiecz. z wyjątkiem świąt i piątków.

BIBLJOTEKA RADY PEDAGOGICZNEJ

Państwowa Centralna Bibljoteka Pedagogiczna, ul. Andrzeja nr. 7 (front I-sze piętro) otwarta codziennie od godz. 6 do 9 wiecz., w niedziele od 9 rano do 4 po południu.

POLSKA Y. M. C. A. (Piotrkowska 89). Czytelnia pism i bibljoteka otwarta codziennie od 4 [illegible] wieczór.

Miejski Kinematograf Oświatowy — „Zwierzęta jak ludzie".
Pocz. przedstawień o godz. 5, 7, 9 wiecz.

„Apollo" — „Skandal w noc poślubną"
Pocz. przedstawień o godz. 5, 7 i 9 wiecz.

„Casino" — „Matka, córka i kochanka"
Pocz. przedstawień o godz. 5, 7.30 i 10 wiecz.

„Czary" „Tajemniczy rycerz"
Pocz. przedstawień o g. 5.30, 7.30 i 9.30 wiecz

Dom Ludowy — „Zbudzony lew".
Pocz. przedstawień o godz. 4-ej po po.

Grand-Kino. — „Lady Hamilton"

„Luna" — „Ten, za którym szaleją kobiety"
Pocz. przedstawień o g. 6.00, 8.00 i 10.00 wiecz

„Nowości" — „Nieszczęśliwe kobiety".
Pocz. przedstawień o godz. 5, 7 i 9.15.

„Odeon" — „Z pamiętników Buster Keatona"
Pocz. przedstawień o godz. 4, 6, 8 i 10 wiecz

„Reduta" — „Uwiedziona".
Pocz. przedstawień o godz. 5, 7.30 i 10 wiecz.

Resursa — „Dusze w płomienniach"
Pocz. przedstawień o godz. 7 i 9 wiecz.

Spółdzielnia Pracowników Państwowych. Pat i Patachon jako cyrkowcy.
Pocz. przedstawień o godz. 5.30, 7.15 i 9 wiecz.

„Corso" — „Nowoczesny Don Kiszot".

Teatr Miejski — „Żywa maska"
Początek o godz. 8.15.

Teatr Popularny, ul. Ogrodowa Nr. 18 „Ligja"
Początek o godz. 8.15.

Precz z podskubanemi pudełkami zapałek monopolowych.

To nie gęsi! — Pudełko ma być pełne!

Jeden z czytelników skarży się monopolowi zapałczanemu, na niesumienność pewnych detalistów, którzy „podbierają" zapałki z pudełek.

— Dawniej była „banderola", więc nic nie można było wyciągnąć, a teraz każdy może uszczknąć choć 10 zapałeczek. Trzeba stanowczo zaklejać pudełka paseczkiem z orzełkiem. A publiczność powinna uważać i nie kupować niepełnych pudełek!

Precz z „podskubanemi" pudełkami!

Teatr, muzyka i sztuka.

TEATR MIEJSKI.

Dziś, po cenach najniższych (od 40 groszy do 4 zł.) po raz ostatni wznowiona w sobotę fascynująca tragedja Pirandello „Żywa maska" (Henryk IV) z Kazimierzem Junoszą-Stępowskim w jego popisowej kreacji cesarza-obłąkańca.

Wtorek, ostatnie wieczorowe powtórzenie „Co dziennie o 5-ej" z Stefanją Jarkowską. Ceny najniższe.

W środę XX-ta premjera sezonu — sensacyjnej komedji bulwarowej paryskiej L. Verneuil'a, autora granego z olbrzymiem powodzeniem na scenie łódzkiej „Jabłuszka" p. t. „Orzeł czy reszka" (Pile ou face). Główną rolę męską hr. de Varigny odtworzy Kazimierz Junosza-Stępowski, główną rolę kobiecą studentki rumuńskiej Maici Stefanja Jarkowska. Młodym hr. Varigny będzie Tadeusz Krotke. W rolach ważniejszych pp.: Dunajewska, Wołoszynowska, Szubert (Komornik), Mroziński (Prokurator), Przystański (Pan Couzteil), Bielicz (Dominik) i Krzemieński (Książę Perski).

Premjera nowej, nieznanej w Łodzi sztuki popularnego autora francuskiego, zarówno jak występ Junoszy-Stępowskiego w nowej kreacji wywołały ogromne zainteresowanie wśród łódzkich bywalców teatralnych. Kasa zamawiań w oblężeniu. Od dziś rozpoczyna się sprzedaż na dwa pierwsze powtórzenia sensacyjnej premjery t. j. na przedstawienia: czwartkowe i piątkowe „Orła czy reszki". Kupony ulgowe będą realizowane od jutra (wtorek).

TEATR POPULARNY.
Ogrodowa Nr. 18.

Dziś, w poniedziałek, w dalszym ciągu ciesząca się zasłużonem powodzeniem „Ligja" J. Barreta. Doskonała gra artystów z panią Bronowską na czele, piękne dekoracje i efekty świetlne, wprowadzają widza w epokę dziejów minionych. Ceny miejsc najniższe (od 30 gr. do 1.50 gr.) Kasa sprzedaje bilety na cały tydzień od 12 w poł do 3-ej i od 5-ej do 10-ej wieczorem.

W środę, o godzinie 4-ej po południu „Ligja" w opracowaniu scenicznem dla młodzieży szkolnej.

Ogłoszenia drobne.

Pani dzisiaj bez koszulki. Wielki wybór damskiej i męskiej bielizny, pończoch, skarpetek, krawatów. Pracującym na raty. Leon Rubaszkin, ul. Kilińskiego 44.

Upiększajcie — wasze pokoje! Firanki od metra odpasowane, kapy pluszowe. Pikowe gobelinowe kołdry watowe. Podpinki Pracującym na raty Leon Rubaszkin ul. Kilińskiego 44.

Maszynowego haftu artystycznego białego, kolorowego filet ręczne i maszynowe. Toledo aplikacje oraz najnowsze roboty wyuczam przez miesiąc Wschodnia 64, pr. ofic. mieszk. 24.

Cena prenumeraty:

W Łodzi miesięcznie	zł. 2.70
Dla robotników	„ 2.20
Na prowincji	„ 4.00
Zagranicą	„ 6.00

„Łódzk. Echo Wiecz." i „Kurjer Łódzki" łącznie zł. 6.90
Odnoszenie do domu 30 gr.

Ceny ogłoszeń:

Przed tekstem i w tekście 30 groszy za wiersz milimetrowy 1-łamowy (strona 4 łamy)

Za tekstem	25	4
Nekrologi	25	4
Komunikaty	25	4
Zwyczajne	6	10

Drobne 10 gr., poszukiwanie pracy 5 gr. za wyraz — najmniejsze ogłoszenie 50 groszy.

Ogłoszenia zamiejscowe o 50 proc. drożej.
Zagraniczne o 100 procent drożej.
Za terminowy druk ogłoszeń, komunikatów i ofiar administracja nie odpowiada.
Artykuły nadesłane bez oznaczenia honorarjum uważane są za bezpłatne.
Rękopisów zarówno użytych jak i odrzuconych redakcja nie zwraca.

Wydawnictwo: „Łódzkie Echo Wieczorne". Wyd. Jan Stypułkowski.
Odbito w drukarni Tow. Drukarsko-Wydawniczego „Kurjer Łódzki" ul. Zawadzka Nr. 1.
Za redakcję i wydawnictwo odpowiada: Władysław Ulatowski.